Drukarnia pod Arkadą

Florian Śmieja

Oficyna pod mostem

Dla K. i Cz. B.

Feliks Topolski, Krystyna i Czesław Bednarczykowie.

W przedsionku cuchnie farbą, paki przejście

ci tarasują, a przecież to tutaj

tłumniej się garną na duchów biesiady

niż na czwartkowe przyjęcia monarchów.

Jakże niepyszne stoją kuluary

spasionych bonzów od wielkiej żeglugi

bo strużce płynącej ze wzgórza Kaliopy

na próżno szukać by mniej oficjalnej

ścieżki nad tę, lichszych progów, schronienia

bardziej skromnego. Duch od rezydencji

stroniący bujniej za to popod strzechą

swobodny kwitnie. Tak na nagiej ścianie

orzeł kapłonowi też nie zazdrości

ni gęsi sytuowanej na grzędzie.

Wie, że gdy spadnie z błękitu piorunem,

truchleją serca tuczone, umilknie

głos podwórkowy. Bo gdzie się pokażą

orły, padlina zwykle niedaleko.

W Londynie pod przęsłami kolejowego mostu na Tamizie funkcjonowała przez kilkadziesiąt lat Oficyna Poetów i Malarzy, wydawnictwo i drukarnia Krystyny i Czesława Bednarczyków, znana nie tylko polskim emigrantom zamieszkałym w stolicy Zjednoczonego Królestwa i okolicy, ale również wielu Polakom odwiedzającym Anglię.

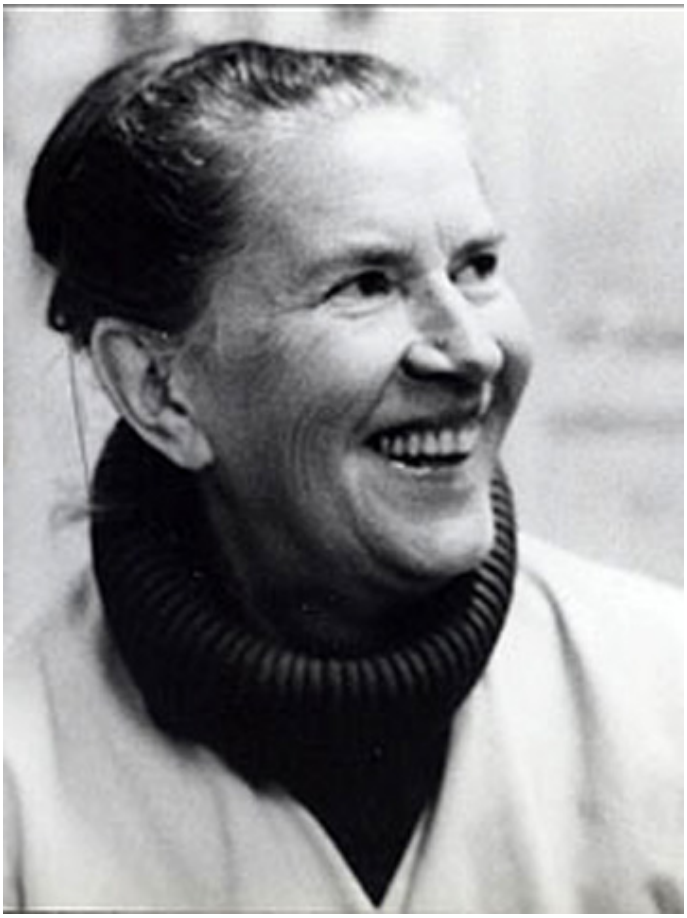

Krystyna Bednarczykowa, fot. Katedra Edytorstwa i Nauk Pomocniczych UJ.

Podwójna rola poetów i drukarzy wystawiała oboje na wiele niełatwych prób i kolei barwnego życia w wyziewach ołowiu i farby drukarskiej, wśród maszyn i stosów papieru w różnych stadiach obróbki. Były to jeszcze czasy przedkomputerowe, epoka żmudnej pracy zecerów i linotypistów, drukarek rotacyjnych i gilotyn. W takich to warunkach powstawały piękne druki, które z czasem miały stworzyć długą listę w wiele setek tytułów idącego rejestru osiągnięć placówki.

Wydawanie książek Bednarczykowie zaczęli z pomocą pedałówki. Mieli ambicję zrzeszyć ludzi pióra i pędzla równouprawnionych w książce i piśmie. W erze zarysowującej się rewolucji technologicznej, która przeorała drukarstwo, wierzyli w przetrwanie rzemiosła i sztuki wielkiej tradycji reprodukcji książki. *Z Gutenbergem iść będzie dalej piękna książka, wiecznie istnieć będzie artysta książki i ręczna sztuka drukarska,* pisał Bednarczyk. Wierzyli, że pozostanie tęsknota do artystycznej, na ręcznej prasie tłoczonej książki. Nieraz jeszcze z sentymentem wspominam częste

odwiedziny w drukarni. Przynosiłem czasem domowe kołacze, albo zakupione w pobliskiej cukierni ciastka, Bednarczykowie ogłaszali przerwę, parzyli kawę czy herbatę i zasiadaliśmy na czym było można, lustrując przy okazji drukujące się akurat książki i gotowe już egzemplarze. Wtedy też wymienialiśmy nowości, układali plany, snuli marzenia.

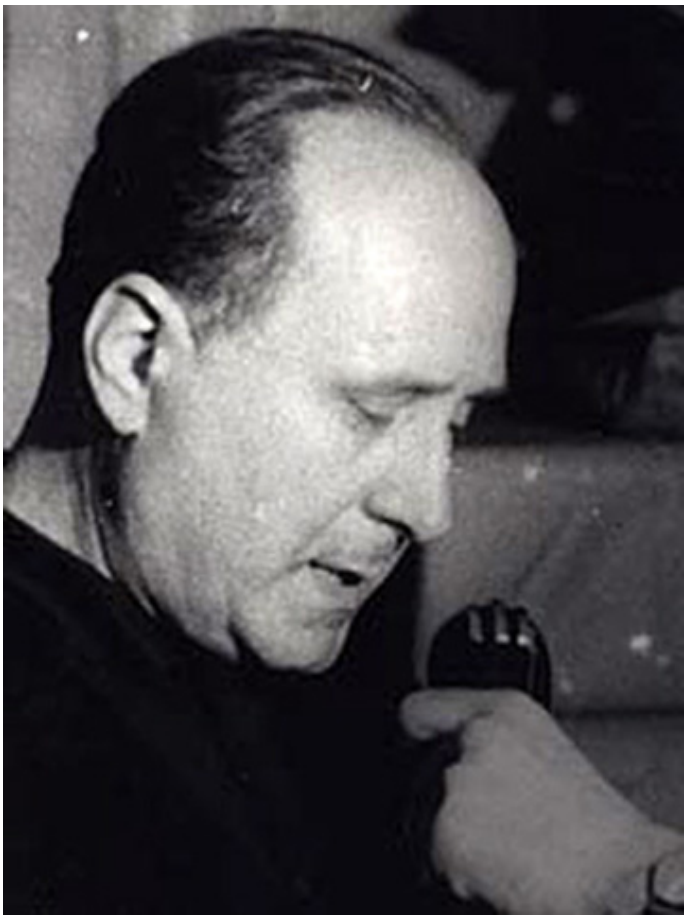

Czesław Bednarczyk, fot. Katedra Edytorstwa i Nauk Pomocniczych UJ.

Za małe pieniądze drukowałem w ich oficynie tomik poezji „Powikłane ścieżki", a także wybór prozy poetyckiej Hiszpana, noblisty, Juana Ramóna Jiméneza, „Srebroń i ja". Zygmunt Turkiewicz wybrał się do Irlandii, by napatrzeć się i narysować dla książki osiołki. Tekst był bardzo liryczny i piękny, a autor nagrodzonym poetą, dlatego druk był szczególnie wypielęgnowany i czterokolorowy, co wtedy oznaczało czterokrotne przepuszczenie przez maszyny i czyszczenie wałków z farby. Ponieważ tytułowy osiołek nazywał się „Srebroń", więc nagłówek i łeb protagonisty drukowane były srebrną farbą. Powstała śliczna książeczka, jedna z piękniejszych pośród

gustownie wydawanych tomików, które wyszły spod prasy „Oficyny Poetów”.

Z tą pozycją wiąże się moje nierozważne pociągnięcie, kiedy to chcąc poprawić kilka błędów i dostarczyć tekstu już wyczerpanego, nieumiejętnie książeczke powieliłem w Kanadzie. Ponieważ wprowadziłem drobne zmiany w tekście, trzeba było wydanie opatrzyć innym numerem. Dość, że powielone egzemplarze wypadły bardzo niekorzystnie. Kiedy Krystyna Bednarczyk je zobaczyła, nakazała je wycofać i mocno mnie zbeształa. Dopiero wydanie całości tekstu (trzy razy dłuższego) dwujęzyczne we Wrocławiu salwowało sprawę hiszpańskiego arcydzieła.

Krewkości Krystyny Bednarczyk doświadczyłem uprzednio w latach redagowania miesięcznika „Kontynenty”, drukowanego przez jakiś czas u nich. Jego kolorowa okładka zmieniała się w zależności od posiadanych przez drukarnię na składzie papierów i kartonów. Raz umówiliśmy się, że będzie czerwona. Przeświadczony o tym pojechałem po pracy do drukarni i , o zgrozo, zamiast spodziewanej okładki czerwonej, zobaczyłem zieloną. Nim się zreflektowałem, nieopatrznie wypowiedziałem słowo zdziwienia „zielona?” To wystarczyło, by Krystyna, która widocznie miała trudny dzień, ucapiwszy mnie za kołnierz, wyprowadziła z drukarni.

Bednarczykowie zapisali piękną kartę wydając przez czternaście lat dużego formatu zeszyty kwartalnika „Oficyna Poetów i Malarzy” w imponującej szacie graficznej. Wyszło ich w sumie 57. Bez wątpienia okazały to był periodyk, który stwarzał możliwości publikacji ambitnym pisarzom i plastykom z emigracji i z kraju.

Aczkolwiek raz po raz drukowałem w nim różne teksty, nie wykorzystałem należycie oferty. Obowiązki zawodowe i przeniesienie się do Kanady nie pozwoliły na pełny udział. Tym niemniej zdołałem wydrukować kilka poważniejszych prac, w tym przekład dwuaktowej komedii Federico Garcii Lorci, sztukę Argentyńczyka Osvalda Draguna, esej T.S. Eliota, opowiadania J.L.Borgesa oraz psalmy Ernesta Cardenala oprócz wierszy i recenzji. Na łamach „Oficyny” ukazały się po raz pierwszy przewrotne bajki Gwatemalczyka, Augusta Monterroso. Pamiętam też, że raz posłałem przekłady wierszy dwu kanadyjskich poetów, z którymi pracowałem w głównym, neogotyckim budynku uniwersyteckim o pięknej kwadratowej wieży, w London, Ontario. Jednym z nich był anglista James Reaney, dramaturg i poeta, drugim, młody asystent na anglistyce, poeta i filmowiec, który później dopiero miał

zasłynąć jako wspaniały powieściopisarz, Michael Ondaatje. Jego wiersz w „Oficynie” z pewnością był jego polskim debiutem. Nie doszedł natomiast do skutku sugerowany w jednym z listów tom przekładów poezji Louisa Dudka, poety kanadyjskiego polskiego pochodzenia, którego poznałem w Montrealu w 1971 roku.

Kiedy w latach sześćdziesiątych zamykał się miesięcznik młodych „Kontynenty”, mógł był znaleźć kontynuatora w Czesławie Bednarczyku, ale miał on własne plany i ambicje hołubione od wielu lat. Mógł też czuć do młodych pisarzy pewne rozczarowanie, a nawet żal, że wobec starszych kolegów nie wykazywali należnego entuzjazmu czy pietyzmu, że nie inspirowała ich twórczośc średniego pokolenia poetów, którzy na emigracji pozostali bez własnej platformy i rzeczników. Młodzi wprawdzie głosili także obcość poezji skamandrytów, nie opowiadali się też zbyt ciepło po stronie awangardy, ale równocześnie nie doceniali osiągnięć poetów średniego pokolenia, nie brali ich sobie za wzór, a zerkanie na równieśników w Polsce nie mogło się podobać.

W swoich wspomnieniach zatytułowanych „W podmostowej arkadzie” Bednarczyk oceniając krytycznie londyńską scenę nie pominął grupy młodych poetów skupionych przy piśmie „Merkuriusz Polski” a potem „Kontynenty”. Wyszliśmy w porównaniu z innymi, myślę, dość obronną ręką.

Nie zabierając głosu w imieniu wszystkich, sądzę, że wymienione w książce nazwiska naszych domniemanych wzorców wybrane zostały dość arbitralnie. Jerzego Niemojowskiego szanowałem za obsesyjną wręcz dedykację rzemiosłu poetyckiemu. Znalazł czas, by go w zupełności poświęcić pisarstwu i skupić się na swoim warsztacie. Tego tylko zazdrościć. Natomiast nigdy nie był mi wzorem czy mistrzem, jego utworów nie znałem dostatecznie, nie były w moim stylu. Podobnie mogę powiedzieć o Janie Brzękowskim. Nie spotykałem się z nim, nie korespondowałem, nie znałem jego wierszy. Tadeusza Sułkowskiego konsultowałem w sprawie przekładu prozy poetyckiej Jiméneza, jego poezje znałem i ceniłem, ale nie brałem wzoru. Zawsze mnie pociągała poezja Miłosza, wdzięczny byłem, że zechciał do nas przyjechać dwa razy. Zwróciłem się do niego z prośbą o współpracę i otrzymałem odeń tekst, który potem moi koledzy krytycznie roztrząsali. To wszystko. T.S. Eliota znałem jako tako, nie byłem weń zapatrzony. To, co pisze Bednarczyk o wpływach tych ludzi na naszą poezję, mnie raczej nie dotyczy.

Od lewej: Czesław Bednarczyl i Jan Darowski w Drukarni pod Arkadą, fot. arch. F. Śmieji.

Już w 1966 roku Czesław Bednarczyk omawiając antologię wierszy „Ryby na piasku” napomknął:

> *Ma rację, wydaje mi się, Wacław Iwaniuk twierdząc, że grupa Kontynenty… prędzej czy pózniej doczeka się swego historyka. Doczeka się choćby dlatego, że powstała w bardzo niecodziennych warunkach. Pamiętam doskonale nacisk gospodarzy i rodaków im pomagających kierowania młodzieży na studia techniczne, jak to się mówiło, i praktyczne. I właśnie pojawienie się grupy młodych ludzi interesujących się naszą literaturą i naukami humanistycznymi, mozolących się nad poprawną polszczyzną, piszących i ogłaszających wiersze i artykuły w „niepraktycznym” języku – musiało wzbudzić u starszych zrozumiałe*

zainteresowanie i dużo należnej sympatii.

…Z radosną zazdrością patrzyłem na młodych zrzeszających się w imię polskiego słowa: czytałem zawsze z przyjemnością, choć zawsze przesadzone i na wyrost, wzmianki w prasie emigracyjnej o nich.

Chętnie się z powyższym zgodzę, a nawet nie protestuję, kiedy ciągnąc dalej powiada

Łatwość druku, częste i za byle co dawane nagrody dla młodych adeptów sztuki poetyckiej tylko ich rozzuchwalało. Wieczory autorskie w kadzidlanym dymie i wzajemnych koleżeńskich pochwałach u wielu co najmniej wywoływały pobłażliwy uśmiech. Nawet Grydzewski drukował im, łamiąc zasadę, wiersze bez znaków pisarskich i wszystko małą literą. Tego mu chyba ortodoksyjni Skamandryci nigdy nie wybaczą.

No, ale jak wcześniej powiedziałem, nie wypadliśmy w sumie tak źle. Innym się dostawało mocniej, bo życie miewa swoje nieodzowne amplitudy. Nawet Bednarczyk później zauważył:

gdy teraz spoglądam wstecz, widzę potrzebę istnienia obok siebie i pochwał i skrajnej nawet krytyki wraz z niechęcią ludzi usiłujących szkodzić.

Nie zdążył jednak, jak zamierzał, odpowiedzieć na atak kilku osób, które w „Kulturze" podpisały list w obronie domniemanie szkalowanego przez Bednarczyka Bronisława Przyłuskiego.

Nie godząc się na zarzut, 'że prawie wszystkich nie lubi',Bednarczyk odpowiedział w liście do „Kultury" (3/534 z 1992 roku), że to nieprawda, ale przyznał, że

Nie lubi i nie szanuje tych tylko, którzy przywłaszczyli sobie pieniądze społeczno-państwowe, którzy brali i biorą od obcych pieniądze: obojętnie od czerwonych, czarnych czy białych, nie lubi przedwojennych endeków, którzy na emigracji udają filosemitów, nie lubi byłych komunistów udających dzisiaj ideowych patriotów, nie lubi socjalistów…

Bednarczykowie mieli piękny domek z pielęgnowanym ogródkiem, do którego uciekali po pracy spod hałaśliwego mostu. Czesław pisał rzetelne, cenione wiersze, pochodzące z dojrzałego, warsztatu, a świadczące o wyrobionym smaku autora i gustownie je wydawał. Krystyna debiutowała późno, ale zdołała uchwycić własny głos i pisała teksty, które się podobały.

Nie da się zaprzeczyć, że oboje ciężko pracowali, znajdywali od czasu do czasu wsparcie i dobrych przyjaciół, ale nie potrafili wybić się na tyle, by wolni od koniunktur miejsca i czasu, mogli byli swobodnie i na dłuższą metę wydawać pokupne książki. Ich dzieło imponuje zważywszy skromne warunki lokalowe i ludzkie. Stanowili jedną z tych witalnych cząstek ofiarnej i patriotycznej emigracji, która już nie miała się doczekać godnych następców, gdyż była nietypowa i niepowtarzalna.

Oficyna z jej półtysięczną listą wydawnictw to pomnik wielkiego wysiłku, wprawdzie papierowy, ale trwalszy od spiżu.